

KULTURA

Newsweek

CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ ŻYCIE

TATA GRAŁ DO KOŃCA

Kiedy zacząłem pracować, jego pierwsze pytanie brzmiało: „Czy dobrze ci płacą?”. Sukcesy artystyczne nie były dla niego tak ważne, jak umiejętność radzenia sobie w życiu – w 10. rocznicę śmierci Gustawa Holoubka opowiada o nim jego syn

ROZMAWIAŁ JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE FILIP ĆWIK

JAN HOLOUBEK: Był bardzo zajęтым człowiekiem. Ileż on zrobił filmów, teatrów telewizji i spektakli! Trudno sobie wyobrazić, że w ogóle bywał w domu!

NEWSWEEK: Kiedy był pan dzieckiem, czytanie na dobranoc nie wchodziło w grę?

– Wchodziło. Absolutnie! Raz mama [żona Gustawa Holoubka, aktorka Magdalena Zawadzka – red.], raz tata, a w ostateczności...

W ostateczności co?

– Moi rodzice nagrywali dużo płyt dla dzieci, więc jak oni nie mogli mi czytać, to mogłem sam sobie puścić ich z płyty.

Kiedy pan się urodził, ojciec miał 55 lat. Był pan jego najmłodszym dzieckiem.

– Na ogół rodzice są tymi, którzy wychowują, a dziadkowie są od rozpieszczania. U mnie było odwrotnie. Ojciec był równolatkiem dziadka, czyli ojca mojej mamy. Dziadek, Andrzej Zawadzki, był podczas II wojny światowej żołnierzem, oficerem Armii Krajowej, powstańcem warszawskim. Wojna go ukształtowała; chciał mnie wychować jakoś bardziej „twardo” – przygotować do życia, pokazać, że są obowiązki, że trzeba w życiu robić to czy tamto.

Za to tata uważał, że najważniejsze jest, żeby dziecko czuło się dobrze. Nie nauczył mnie składać skarpet i spodni w kostkę czy

tego, jak zreperować kran. Kiedyś mama wróciła do domu i zastała ojca z hydraulikiem, jak się zamknęli w pokoju, bo szczur wyszedł z łazienki; wystawili jej kij przez drzwi, żeby pogoniła tego szczura. Za to ojciec był wzorem wszystkich cnót: spokoju, mądrości, miłości. Tego chciał też mnie uczyć. Muszę jednak dodać, że jestem człowiekiem dość obowiązkowym, pilnującym terminów i zobowiązań – to lekcja od mojego dziadka.

Grał w piłkę?

– Nie. Nie strzelał też z łuku, nie budował szałasów. Miał inne cechy, których młodszy ojcowie nie mieli. Miał doświadczenie życiowe, spokój i wiedzę na temat tego, co jest istotne w życiu. Jako młody mężczyzna przez wiele lat chorował na gruźlicę, przez całe życie miał sprawną jedną nerkę, przeżył wojnę. I to ustawiło go w innym stosunku do życia – po prostu się nim cieszył. Często nie było go w domu, bo miał dużo spotkań towarzyskich – gadanie, granie w karty. Rodzice mieli działkę pod Warszawą, ale ojciec w czasie wakacji przyjeżdżał tam na jedną, góra dwie noce. Broń Boże, żeby siedzieć na wsi i patrzeć na rzekę!

Nie męczyło go takie aktywne życie?

– Był typem człowieka, który się nie starzeje. Chociaż pamiętam, że któregoś razu policzyłem sobie, że jak będę miał 15 lat, to mój ojciec – 70. Wiedziałem, że jest dużo starszy od



innych rodziców. Modliłem się, żeby dożył moich 15. urodzin. Musiałem się bać o niego.

Na zdjęciach z dzieciństwa często pana przytula.

– Ojciec był czuły i nie ukrywał tego w imię „męskiego” wychowania. Nie był typem, który wyjeżdża z synem na męską wyprawę kajakową. Traktował rodzinę jako komplet – ja, on, mama. Czas sam na sam spędzaliśmy, kiedy mama wyjeżdżała. Robił mi zawsze najśłodsza herbatę z cytryną, jaką tylko się da przygotować. Siedziałem rano i czekałem na „Teleranek”, a on przynosił mi jajecznicę i tę herbatę. Do dzisiaj taką sobie robię. Nie przepadał za tym, żeby siedzieć ze mną w domu i układać klocki, raczej wsadzał do samochodu i jechaliśmy do wesołego miasteczka czy na bitą śmietanę. Ale też lubiłem z nim oglądać sport.

Jakim był kibicem?

– Szalonym, żywiołowym. Rzucał mięsem niemiłosiernie.

Pańska matka, Magdalena Zawadzka, pisała, że trudno go było wytrącić z równowagi.

– Taki miał wizerunek, ale był dosyć temperamentnym gościem. Jak się wściekł, to ostro. Kiedyś podczas jazdy samochodem, miałem wtedy może siedem lat, wpadłem na genialny pomysł i założyłem mu z tylnego siedzenia czapkę na oczy. Nawet nie ma co pisać o tym, jak zareagował. Kiedyś ganiał mnie po mieszkaniu, bo chciał wymierzyć jakąś karę cielesną. Ale ponieważ mieliśmy amfiladowy układ pokoi, można było przechodzić z jednego do drugiego dookoła, byłem nie do złapania. W końcu machnął ręką.

Tadeusz Konwicki pisał, że pański ojciec przygotowywał się do roli, stawiając pasjansa.

– Jako dziecko brałem to za zwyczajną rozrywkę. Za to kiedy jako młody chłopak zacząłem wychodzić z domu i wracać późno, nigdy się nie zdarzyło, żeby ojciec na mnie nie czekał. Kiedy wracałem o drugiej czy trzeciej w nocy, siedział w kuchni i stawiał pasjansa. Pytałem: „Tato, co tutaj robisz?”, a on na to: „A nic. Tak się zasiedziałem”. Nie mógł się położyć spać, nie mając pewności, że wróciłem.

Był okres buntu?

– Ojciec pozwalał mi na tak wiele, że buntowanie się wydawało mi się niesmaczne. Jako 15-16 latek, mając do ojca interes w postaci potrzeby, dla przykładu finansowej, wiedziałem, że znajdę go w kawiarni. Najpierw Nowy Świat, potem u Bliklego na Nowym Świecie. Jak już to tej kawiarni wpadłem, to sobie siadałem, przytulałem ciastko i herbatę i przy okazji słuchałem rozmów z Tadeuszem Konwickim i innymi Ich gośćmi. Oni spotykali się wyłącznie na mieście. Jedyna opcja, żeby ściągnąć Konwickiego do nas do domu, to było kiedy – w tych pustych latach 80. – przyjaciel taty Janusz Hellich przywoził z zagranicy duńskie parówki. Tadeusz je uwielbiał i było jasne, że się u nas pojawi.

Jak ojciec zareagował, gdy dowiedział się, że chce pan zdawać do szkoły filmowej?

– Pierwszą kamerę dostałem na początku lat 90. Kręciłem jak oszalały swoje amatorskie filmy. Pokazywałem mu je, oczekiwałem zachęty, opinii... Co mógł odpowiedzieć? Że „fajnie”, że „dobrze”... Kiedy już zdecydowałem o zdawaniu, potrzebowałem jakiegoś potwierdzenia, że dobrze robię. A ojciec nie mógł mi ta-

Gustaw Holoubek z synem Janem

w Bukowinie Tatrzańskiej, 1982 r.



” **MOI RODZICE
NAGRYWALI DUŻO PŁYT DLA
DZIECI, WIĘC JAK NIE MOGLI
MI PRZECZYTAĆ, TO MOGŁEM
SAM SOBIE PUŚCIĆ ICH Z PŁYTY**

kiego potwierdzenia dać. Wybranie drogi artystycznej jest obarczone ogromnym ryzykiem. Może się uda, a może nie. On nie chciał składać obietnic, które mogą nigdy się nie spełnić.

Mama aktorka, tata legenda polskiej kultury. Kiedy poczuł pan ciężar nazwiska Holoubek?

– W szkole podstawowej. To był niewypowiedziany wprost, ale wyczuwalny komunikat płynący od nauczycielek czy rodziców kolegów, że spoczywa na mnie obowiązek bycia „godnym” synem swojego ojca. Dobrze się uczyć, być grzecznym. A ja byłem chłopakiem rozrabiającym, gadającym na lekcjach, w kółko dostawałem uwagi. Ale ojciec nie robił mi z tego powodu wyrzutów; nie zabraniał być sobą. A potem, kiedy się wkracza w ten zawód artystyczny, to też są oczekiwania: że syn Holoubka musi albo być bardzo dobry, albo w ogóle go nie ma. Nie może być średni.

Jak przyszedł pan do filmówki, czuł pan, że nie będzie łatwo?

– Jasne. Jak się ma takie nazwisko, to wszystko jest obarczone od razu oceną, co ten młody Holoubek zrobił. „Dostał się do tej szkoły, no to zobaczmy, czy dlatego, że zdolny, czy załatwili mu rodzice?”. Trudno było, bo szkoła to miejsce na naukę, popełnianie błędów, a ja tych błędów nie mogłem popełniać.

Nie bał się pan porównań? Wybrał pan branżę artystyczną, jak rodzice.

– Tak się wydarzyło, że pasjonowały mnie zdjęcia, film. Było by grzechem, żeby ze strachu przed tym zrezygnować ze swoich marzeń.

Jak pan sobie z tym poradził?

– Ostatecznie poradziłem sobie, robiąc film „Słońce i cień”. O ojcu. Tata zaczął się starzeć właściwie dopiero po osiemdziesiątce. To trudny do wyłapania moment, który się przytrafia wielu starszym ludziom. Był na chodzie i w ciągu miesiąca nastąpiło załamanie – wysiadła mu ta jedyna działająca nerka.

Jak to przeżywał?

– Nikt nie przeżywa dobrze tego, że ciało zaczyna odmawiać posłuszeństwa.

Ojciec pierwszy samochód kupił sobie dopiero po pięćdziesiątce, przez wiele lat jeździł bez prawa jazdy. Zakochał się w prowadzeniu, potrafił wsiąść do auta, by pojechać kilkaset metrów po papierosy. Był taki moment, kiedy zaczął zagrażać bezpieczeństwu innych użytkowników drogi – już nie ten refleks, słuch, wzrok. Musiałem wtedy z nim porozmawiać; to był dla niego bardzo przykry moment, zaczynał rozumieć, że koniec się zbliża. I wtedy dostałem propozycję nakręcenia filmu o nim. Najpierw odmówiłem. Wydawało mi się, że nie jestem na to gotowy. Ale też czułem, że to może ostatni moment, żeby zadać mu pytania, które wcześniej nie padły.

Poprosił pan o pomoc Konwickiego?

– Na początku myślałem, że po prostu nakręcę rozmowy ojca z Tadeuszem Konwickim o ważnych sprawach. Szybko zorientowałem się, że to się nie uda – natychmiast uciekali w dygresje. A ja na nakręcenie filmu miałem tylko trzy dni. Postanowiłem nas wszystkich dobrze przygotować. Przez kilka tygodni odwiedzałem go w domu i zadawałem pytania w stylu: co sądzisz o umieraniu, przyjaźni, miłości, małżeństwie, pasji, pracy? Odpowiedzi nagrywałem, potem spisane rozmowy redagowałem, wybierałem esencję i przed zdjęciami wręczałem ojcu tekst. Prosiłem, żeby się nauczył na pamięć swoich własnych słów.

W filmie „Słońce i cień” chodzą obaj po jesiennym lesie.

Gustaw Holoubek opowiada, Konwicki słucha.

– Tadeusz był wtedy jeszcze w bardzo dobrej formie fizycznej. Warszawski piechur, były partyzant, chodzenie po lesie miał we krwi. Nawet sprzęt filmowy pomagał nosić ekipie. Gorzej z ojcem, który nie był przyzwyczajony do chodzenia, przez lata wołał wozić się samochodem albo siedzieć w kawiarniach. Zmęczony dializami opierał się na Konwickim. Tadeusz bardzo mi pomagał. Kiedy już ojciec słabł, opadał z sił, potrafił wycisnąć z niego kolejną porcję energii, ponieważ czułem, że to będzie nam jeszcze potrzebne do ukończenia filmu.

Trudno było reżyserować ojca aktora i przyjaciela pisarza?

I to takiego, który też zrobił kilka filmów?

– Obaj doskonale orientowali się, co się dzieje na planie. Tadeusz nawet czasami radził: „Przestawcie się z kamerą tam, będzie lepsze ujęcie”.

W filmie Konwicki mówi: „Kiedyś rozmawialiśmy o dziewczynkach i sporcie, a teraz częściej o sprawach ostatecznych”...

– Ojciec powiedział mi wiele rzeczy, których nie powiedział by nikomu innemu. Kiedy zobaczył zmontowaną całość, nie był pewien, czy nie ociera się to o ekshibicjonizm. Uważał, że pewnych rzeczy o sobie nie należy mówić publicznie, bo to jest nieeleganckie. Pokazaliśmy więc materiał Konwickiemu, który powiedział: „Wszystko w porządku”. I to był ważny moment dla nas w relacji syn-ojciec. Ten film był rodzajem inicjacji, tylko że w innym momencie życia i na innym poziomie niż zwyczajowo. To była ta nasza wspólna „wyprawa”.

Zwykle takie wyprawy zdarzają się, jak syn ma kilka, kilkanaście lat.

– Ja miałem 29 lat. Ale takie jest ryzyko starszego ojca: spotyka się z dorosłym synem właściwie tuż przed śmiercią, w ostatniej chwili.

Był zadowolony z pana?

– Nigdy nie zapytałem go wprost. Ale wiem, że ten film go uspokoił. Że nie jestem już tylko synem Gustawa Holoubka, ale oddzielnym Holoubkiem. Sądzę, że ojciec miał w sobie niepokój o mnie. Co to za gość? Co z niego wyrośnie? Czy da sobie w życiu radę? Kiedy zacząłem pracować zawodowo, jego pierwsze pytanie brzmiało zawsze: „Czy dobrze ci płacą?”. Sukcesy artystyczne nie były w jego mniemaniu tak ważne jak umiejętność radzenia sobie. Chciał, żebym miał pracę i sam sobie radził. To była dla niego miara sukcesu. Zawsze chciał mieć mercedesa albo bmw. I kiedy ja nagle przyjechałem po niego swoim pierwszym bmw, to zrobiłem mu tym wielką frajdę.

Kiedyś powiedział pan, że nigdy nie usłyszał od niego słowa „śmierć”.

– Nasza ostatnia Wigilia była bardzo smutna. Widziałem, że on zdaje sobie sprawę, że to jego ostatnie święta. Ostatnio przeglądałem zdjęcia z tego wieczoru; jest na nich mężczyzna, który wie, że jego życie dobiega końca. Ojciec był człowiekiem bardzo chorym, cierpiał, męczył się podczas dializ, ale nie chciał umierać. Kochał życie tak bardzo, że nawet ta chujowa starość była dla niego do zniesienia. Był nadal żyć.

W tym filmie mówi, że marzył o emeryturze, a jak na nią trafił, to poczuł się samotny.

– Kokieteria (*śmiech*). Gdyby o niej marzył, toby na nią poszedł – a przecież był dyrektorem teatru, robił sztuki do końca. On w tym filmie też kokietuje, że na emeryturze marzył o podróżach. Nieprawda, wcale nie lubił podróżować! Tata jako aktor grał do końca. Kiedy już nie mógł wychodzić, przyjmował gości u siebie. Odwiedzali go znajomi, przyjaciele – wśród nich jego wspomniany już wspinały przyjaciel Janusz Hellich. A on sobie siedział, palił papierosy i rozmawiał.

W dzieciństwie – nawet jeśli go nie było często w domu, nie uczestniczył w różnych sytuacjach – zawsze czułem jego silną obecność w swoim życiu. Był oazą ciepła i dobra. I to od 10 lat się nie zmieniło. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

JAN HOLOUBEK JEST OPERATOREM FILMOWYM I REŻYSEREM.

PRACOWAŁ NAD FILMAMI FABULARNYMI „PODATEK OD MIŁOŚCI”, „KRÓL ŻYCIA” I SERIALAMI, M.IN. „KRUK. SZEPTY SŁYCHAĆ PO ZMROKU”